Listopad 2026

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

300

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

300

Pięćdziesiątka, to było wydarzenie godne skromnej imprezy, która odbyła się w bacówce pod Maciejową. Pierwsza setka była już dużym wydarzeniem, gdyż rozpoczynając redakcyjną przygodę, ani myślałem, że Mammuthus przetrwa tyle lat. Z tej okazji w Chatce w Lachowicach odbyła się duża impreza. Kolejna setka nie była już takim zaskoczeniem, więc Mammuthus nr 200 ukazał się niejako przy okazji (patrz teorię „przyokazyjek” na str. 2) Blachowania w roku 2014 na Turbaczu.

Trzecia setka nie budzi już takiego zdziwienia, więc MM300 ukazuje się bez pompy i fajerwerków, w zwykłym trybie i formie.

Przypomnijmy zatem w skrócie historię Mammuthusa. Wielu z młodszych Harnasi nie było jeszcze na świecie, a nawet w planie, gdy na zebraniu Koła w listopadzie 1993 r. ukazał się pierwszy numer pisemka. Trzechsetny numer ukazuje się więc dokładnie 33 lata po tej dacie.

Pomysł wpadł do głowy Redakcji, która nie wiedziała jeszcze, że stanie się Redakcją, na Ekskluzywnym Rajdzie Górskim (ERG-u) w Tatrach, zdominowanym przez pokolenie Mamutów. Chodziło o to, by podtrzymać kontakt z Kołem tych Harnasi, którzy pozakładali już rodziny, zajęli się wychowaniem dzieci, ale nadal czuli związek z naszym środowiskiem.

Pamiętam ten wieczór, gdy wymyślałem logo oraz układ pisemka. Miałem już wówczas pewne doświadczenie w komputerowym składzie publikacji oraz odpowienie narzędzia. Wzorcowy egzemplarz drukowałem w pracy na drukarce laserowej, a potem powielałem na xero. Nie było też jeszcze w powszechnym użyciu internetu, więc materiały były przekazywane na papierze, listownie lub na dyskietkach (kto nie wie, niech sprawdzi, co to takiego). Potem było składanie kartek gazetki, wkładanie do kopert, adresowanie, naklejanie znaczków pocztowych i wysyłanie. MM był też dystrybuowany na zebraniach Koła. Ech, co to były za czasy – zupełnie inna epoka – choć wydaje się, że to tak niedawno. Nie przedłużając tego wstępu, zapraszam więc do lektury trzechsetnego Mammuthusa Montanusa.

Redakcja

ZKSR 2026

17.10.2026 Lasy Murckowskie

Jeśli myśleliście, że Smoki, Krokodyle, Żaby, Jeże, Myszy czy Miksery nie potrafią jeździć na rowerach, to byliście w błędzie. Na tegorocznym Zakończeniu Kołowego Sezonu Rowerowego można było się przekonać, że potrafią.

Okazało się też, że Smoki piszą maile, ale nie czytają i przez to zjawiają się na starcie... ZKSR-bis planowanego za tydzień. Na szczęście Smoki potrafią się szybko teleportować.

Natomiast Krokodyle wprost przeciwnie – czytają maile, ale nie piszą, w związku z czym zjawiają się na starcie w sposób niespodziewany, czego można się było spodziewać, znając zwyczaje Krokodyli.



Od lewej: Waldek, Jeż, Żaba, Irenka, Krokodyl, Marek, Kaja, Kolczasta, Romek, Darek, WW, Ania, Jola, Smok, Bożena, Ewa, Mikser, poniżej: Lila, Piotr, Jacek.

Z kolei Jeże zjawiają się, gdy spełniona jest cała lista warunków – nie może być za zimno, ani za gorąco, nie może być za mokro i zbyt wietrznie itd. itp. A na dodatek nie może być za wcześnie, przy czym godz. 10.00 nie jest wprawdzie za wczesna w miejscu zamieszkania Jeży, ale jest stanowczo za wczesna w miejscu startu imprezy. Należy więc tym bardziej docenić poświęcenie Jeża, który wstał skoro świt już o 8.00, by zjawić się punktualnie na starcie ZKSR.

W ten sposób w rześki sobotni poranek o godz. 10.20 z katowickiego Muchowca wystartował na trasę w ostępy Murckowskich Lasów 17-osobowy peleton.

Kierownictwo objęła osobiście Redakcja MM, która co jakiś czas zadręczała uczestników zajętych pogawędkami ciekawostkami przyrodniczo-geograficznymi, ze szczególnym uwzględnieniem hydrografii regionu. Dzięki temu każdy z uczestników będzie wiedział, że poruszaliśmy się wododziałem zlewisk Odry i Wisły, że mijaliśmy źródła Kłodnicy i jej dopływu, Ślepiotki, że z drugiej strony mieliśmy tak ważne cieki jak Bolina, Rów Murckowski, Przyrwa czy Pstrążnik, mający „źródła” w... kopalni Wesoła, które wraz z całkiem poważną rzeczką Mleczną wpadającą do Gostyni stanowią zlewisko Wisły.

Ale poza hydrograficznymi zapoznaliśmy się również z ciekawostkami przyrodniczymi. Dotarliśmy m.in. do buka „Grażyna” – kandydata na drzewo roku 2025. Na razie nie wyłoniono kandydata na buka „Janusza”, ale kto wie, czy nie nastąpi to na ZKSR-bis.

Gdy dotarliśmy do osady Siągarnia, gdzie w IX/X w. czarownica czyhała ponoć na św. Klemensa, okazało się, że jej złe moce dosięgły tym razem Romka, który złapał gumę. Na odsiecz przyszedł mu Piotr. Reszta grupy rzuciwszy okiem na winnicę Gieshe w Siągarni, pomknęła przez Lasy Murckowskie, by uniknąć złych uroków rzucanych przez wiedźmę.

Czekając na Piotra i Romka w bezpiecznym miejscu, skonsumowaliśmy wypieki, które tradycyjnie wyciągnęła ze swojej sakwy Ewa. Tu dodam, że pierwsza konsumpcja słodkości w postaci jabłecznika upieczonego osobiście przez kierownictwo nastąpiła już na starcie wycieczki.

Kolejny przystanek zrobiliśmy przy 300-letnim dębie „Tadeuszu” w przysiółku Hamerla, gdzie znajduje się też trutowisko. Tu zmodyfikowaliśmy trochę planowaną trasę, by nadrobić opóźnienie, i pojechaliśmy prosto szlakiem do Lędzin-Zamościa, omijając piękne i rozległe łąki w dolinie rzeki Mlecznej. Gdy wyjechaliśmy z lasu w Zamościu, usłyszeliśmy jakieś wołanie, ale jak się okazało, tylko Smoczyca wykazała czujność, zawracając i spotykając Żaby, które zatrzymały się z wnuczką Irenką na placu zabaw.

Wkrótce ok. godz. 13.00 wszyscy dotarli do celu, czyli baru „Ognisko, grill & chill” w Lędzinach, między lasem i drogą S1.

Zrobiło się tak ciepło, że w oczekiwaniu na posiłki (głównie burgery) można było zdjąć ciepłe kurtki i polary. Toczyły się oczywiście ożywione rozmowy w podgrupach na temat wyjazdów, wyższości graveli nad MTB i na odwrót, nie zabrakło też – jak to bywa na takich spotkaniach – obgadywania wspólnych, acz nieobecnych znajomych.

Gdy wszyscy się posilili i napoili piwem, kofolą i herbatkami, ruszyliśmy w drogę powrotną. Pierwsze kilkaset metrów nasz peleton poprowadziła najmłodsza uczestniczka – czteroletnia Irenka, która w sumie – jak przekazali dziadkowie, czyli Marta i Waldek – przejechała samodzielnie 15 km.

Główny peleton pojechał dalej, wstępując po drodze na słynne miejsce biwakowe Lasów Państwowych, na którym odbywają się co jakiś czas ogniska kołowe. My jednak ogniska tym razem nie paliliśmy i ruszyliśmy dalej, by pokonać ostatni większy podjazd na naszej trasie. Na chwilę zatrzymaliśmy się też przy stawku w Dolince Murckowskiej, który w czasach słusznie minionych był basenem ośrodka rekreacyjnego. Na koniec rzuciliśmy okiem na znaną wszystkim wieżę ciśnień na Giszowcu, minęliśmy Rybaczówkę nad Stawem Janina i pomknęliśmy Velostradą na punkt końcowy trasy, na Muchowiec. W imprezie wzięli udział: Jacek i Jola Ginter, Ewa i Romek Kowalówka, Lila Cader i Piotr Sąsiedzki, Jeż i Kolczasta, Jacek „Krokodyl” Zielański z córką Kają, Witek „WW” Wolny z córką Anią, Iza „Smok”, Darek Telinga, Marek Franke, Mikser i Bożena, Marta i Waldek Kubiczek z Irenką, czyli „Żaby”.

Jacek Ginter

ZKSR-bis

Ponieważ przeprowadzone przed pierwszym ZKSR szerokie konsultacje społeczne, realizowane drogą mailowo-whatsappowo-forumową, wykazały, że nie da się znaleźć terminu pasującego wszystkim zainteresowanym, kierownictwo w osobie Redakcji MM podjęło decyzję, że pierwsze ZKSR odbędzie się 17 października. Aby jednak wszyscy chętni mogli godnie zakończyć sezon, wyznaczono termin drugiego Zakończenia na kolejną sobotę 24 października. Parę lat temu zdarzyła się, rzucona przez Jasia Kowalika, propozycja zrobienia już we wrześniu Pierwszego ZKSR, sugerująca, że będą następne. Wówczas następne imprezy nie doszły do skutku. Teraz byłoby podobnie, gdyż potencjalni uczestnicy tuż przed weekendem zaczęli włączać komplikatory. Po przesunięciu terminu na niedzielę, okazało się, że chętni jednak są, i wyjazd doszedł do skutku, gromadząc 10 osób, w tym 5 Harnasi. Pogoda znów dopisała, a na dodatek – gdyby komuś było zimno – mieliśmy w ekipie samobieżny model Pieca (Jacka).



Raketa z Piecem na szlaku.

Tym razem trasa była krótsza niż ostatnio (ok. 32 km) i prowadziła przez tzw. Lasy Panewnickie na granicy Katowic, Chorzowa, Rudy Śląskiej i Mikołowa. Zaczęliśmy jak poprzednio od ciasta (tym razem śliwkowego) pod nowym stadionem GKS Katowice. A potem wjechaliśmy na leśne drogi i ścieżki. Pierwszą atrakcją był piękny, bukowy las w Zespole Przyrodniczo-Krajobrazowym „Uroczysko Buczyna" oraz dwie zrośnięte w kształcie litery H sosny, przy których wykonaliśmy grupowe fotki. Potem przejechaliśmy brzegami stawów, tworzących swoiste pojezierze i dotarliśmy do osiedla Stara Kuźnia, gdzie wstąpiliśmy na kawę (czyt. piwo i nie tylko) do baru „U Asi".

Po odpoczynku ruszyliśmy leśnymi drogami w stronę Stargańca, a potem Zadola, gdzie planowany był obiad. Ale zanim tam dotarliśmy, obejrzeliśmy osobliwy obiekt, którego nigdy nie oglądałem, a który znajduje się ok. 200 m od szlaku. Jest to – obecnie zdewastowana – willa Nikity Chruszczowa, zbudowana z okazji wizyty radzieckiego przywódcy w latach 50. XX w. Chruszczow wprawdzie nigdy tam nie nocował, ale jak się okazało, gościła tam w latach młodzieńczych Żaba. Budynek przez wiele lat należał do Śląskiej Akademii Medycznej.

Po obiedzie w Restauracji „Panorama" ruszyliśmy na ostatnie 6 km trasy. Aby tradycji stało się zadość, na ostatnim, leśnym podjeździe, na ok. 1 km przed końcem Jasiowi trafiła się guma, co nie przeszkodziło mu dotrzeć na metę metodą kroczącą.

W ZKSR-bis uczestniczyli: Jola i Jacek Ginter, Ewa i Romek Kowalówka, Lidka i Jarek „Raketa" Hejdukiewicz, Jacek Piec, Jasiu Kowalik, Janusz Mroczek i Lucyna.

Jacek Ginter

PRZYOKAZYJKI

Najpewniej każdemu z Was zdarzyło się jechać gdzieś daleko. W trakcie podróży zatrzymywaliście się pewnie w różnych miejscach, aby zobaczyć coś przy okazji. To właśnie są **Przyokazyjki**.

Przyokazyjki mogą przybrać różne formy – od bardzo krótkich, kilkunasto-, kilkudziesięciominutowych przystanków – do kilkudniowych przerw w drodze do głównego celu. Te pierwsze, to często zatrzymanie się, żeby zrobić zdjęcie, albo odbyć krótki spacer. Te drugie trudno czasami odróżnić od celu samego w sobie, ale skoro odbywają się przy okazji czegoś większego i odleglejszego, to można zaliczyć je do kategorii Przyokazyjek.

Tego typu przystanki mogą być zaplanowane jeszcze przed wyjazdem, mogą być wynikiem bieżącej obserwacji krajobrazu lub mapy najbliższej okolicy trasy, albo stanowić absolutny przypadek. Na te zaplanowane przed wyjazdem można się wcześniej nastawić i nie są z reguły niespodzianką, ale te wymyślone po drodze i te całkowicie przypadkowe potrafią nieźle zaskoczyć.

Czasami Przyokazyjka znajduje się tuż przy drodze – wystarczy się zatrzymać i się nią cieszyć, innym razem trzeba tej drogi trochę nadrobić i poświęcić Przyokazyjce więcej czasu i energii.

Przyokazyjek najłatwiej doświadczyć, podróżując samochodem, ale przecież inne sposoby przemieszczania się nie uniemożliwiają ich wystąpienia. Nawet pieszo można przecież odejść kawałek od głównego szlaku i zobaczyć coś przy okazji.

Nam, podróżującym samochodem i nocującym w nim, a planującym miejsce następnego noclegu często dopiero dzień wcześniej, towarzyszą wszystkie wspomniane rodzaje Przyokazyjek. Chociaż są one nieodłącznym elementem praktycznie każdego dalszego wyjazdu, to ich istnienie uświadomiłem sobie (i nazwałem) dopiero w tym roku. Jedna z pierwszych, które przychodzą mi na myśl, miała miejsce w 2019 roku przy okazji wyjazdu do Słowenii. Był to kilkudniowy przystanek na południowych Morawach, połączony ze zwiedzaniem Mikulova, Lednic, Valtic i okolic. Podobnie długą Przyokazyjką był odpoczynek w Puszczy Augustowskiej po intensywnym zwiedzaniu Estonii. W trakcie drugiej podróży do Norwegii Przyokazyjkami okazało się kilka miejsc w duńskiej Jutlandii, a to zaowocowało dłuższym pobytem na tym półwyspie w drodze powrotnej. Szczególnie w pamięci został nam park narodowy Mols Bjerge.

Nieco krótsze, kilkugodzinne, a czasami całodniowe Przyokazyjki zdarzały się częściej. Przypominam sobie postój nad szwedzkim wybrzeżem Bałtyku w drodze powrotnej z pierwszej wyprawy do Norwegii, który pozwolił obejrzeć instalację artystyczną Nimis autorstwa Larsa Vilksa. W podobnym trybie udało się odwiedzić niemiecki zamek Schwerin i park pałacowy Wilhelmshöhe, szwedzki park narodowy Färnebofjärden i muzeum IKEA w Älmhult, forteczne miasteczko Bergues we Francji czy bardziej swojskie Ciechocinek i Włocławek w drodze nad i z polskiego wybrzeża Bałtyku.

Jedną na najfajniejszych Przyokazyjek była ta powtórzona trzy razy w parku narodowym Skuleskogens, podczas podróży na północ Szwecji. Pierwszy raz zatrzymaliśmy się od południowej strony parku i zrobiliśmy krótki spacer do morza i z powrotem. Krajobraz Höga Kusten – wysokiego wybrzeża – bardzo nam się spodobał, więc rok później odwiedziliśmy to miejsce jeszcze raz, tym razem od północnej strony, gdzie zrobiliśmy dłuższy spacer. Musieliśmy tam jednak zawitać jeszcze w drodze powrotnej, bo poprzednio nie dotarliśmy do okazałego wąwozu Slattdalsskrevan, głównie dlatego, że nie wiedzieliśmy o jego istnieniu, a dzieliło nas od niego tylko ok. pół kilometra. Tym razem nadrobiliśmy zaległości. Na tym przykładzie widać, że nawet pokonując tę samą drogę po raz kolejny, można doświadczyć ciekawej Przyokazyjki.

Króciutkimi Przyokazyjkami, trwającymi zaledwie jedną czy dwie godziny, były: zwiedzenie ruin zamku Krzyżtopór i Sandomierza w drodze na Roztocze, odwiedzenie Krzywego Lasu w drodze powrotnej ze Szwecji, czy spacery w okolicy zamku Ooidonk w Belgii i mostu Rakotzbrücke w Niemczech podczas powrotu z Anglii.

Przyokazyjki mogą również towarzyszyć wyjazdom zawodowym. Czynni przewodnicy na pewno co jakiś czas uprawiają prywatę i pozostawiają grupę w hotelu, sami idąc coś obejrzeć, albo wykorzystują do tego celu czas wolny dany grupie. Moja nieprzewodnicka praca zawiodła mnie w ciągu ostatnich dwóch lat na dwa prawie miesięczne pobyty do szwedzkiego miasta Lulea. W trakcie długich majowych i czerwcowych popołudni lub weekendów udało się doświadczyć niezachodzącego przez całą dobę słońca, kilku krótkich spacerów po okolicznych lasach i wzdłuż jezior oraz przyjemnych obiadów przygotowywanych na ognisku w terenie. Zwiedziliśmy zabytkowe miasteczko Gammelstadt, do którego wierni przybywali dzień przed nabożeństwami, co przypomina soboty w starych drewnianych kościołach, a wyniesione do rozmiaru wioski, bo w północnej zimie w sobotach wszyscy by zamarzli. Udało nam się odwiedzić Storforsen – jeden z najbardziej imponujących wodospadów tamtego regionu. Największą Przyokazyjką w tym czasie była weekendowa wycieczka za koło podbiegunowe, aż do parku narodowego Abisko.

W ciągu ostatnich dwóch lat przebywałem też dwa miesiące w Londynie, co pozwoliło na odwiedzenie najciekawszych miejsc tego miasta i okolic. W tym czasie odwiedziłem Muzeum Historii Naturalnej i bunkier dowodzenia Bitwą o Anglię, przespacerowałem się wokół pałaców Westminster i Buckingham, wzdłuż Tamizy w okolicy Tower Bridge i Tower of London, i przez place Trafalgar i Leicester. Nie brakowało też zieleni – Hyde Park pozwalał na przyjemny relaks w centrum zatłoczonego miasta, a podmiejski Black Park dawał namiastkę lasu. W tym roku zwiedziliśmy jeszcze zamek Windsor.

A to wszystko przy okazji.

Jan Pizoń

KRAJE BAŁTYCKIE I FINLANDIA 2026

Zorza polarna, świat pokryty białym puchem, Mikołaj w saniach pełnych prezentów i zaprzęg reniferów gotowych, by ruszyć z kopyta i pomknąć jak strzała po nocnym niebie… Brzmi kusząco? Być może. Ale jeśli do tego dodać: cały czas ciemno, cały czas zimno i nieustannie mokro, to romantyczna wizja zwiedzania Finlandii w grudniu nie wydaje się już tak szczęśliwym pomysłem. Za to trzy tygodnie podróży w lipcu, kiedy na kole podbiegunowym słońce prawie nie zachodzi, a szansa na chodzenie w krótkim rękawku maksymalnie wzrasta – i owszem.

Trasa

W drogę wyruszyliśmy w ostatnim tygodniu lipca we czwórkę – Metzger, Bartek (9 lat), Tomek (7 lat), no i ja. Plan był prosty: niespiesznie przemieszczać się w kierunku północnym, aby wreszcie dotrzeć do najdalszego punktu programu, tj. parku narodowego Oulanka. Jechaliśmy samochodem, po drodze zatrzymując się w Suwałkach, Rydze, Helsinkach, Oulance, Rovaniemi, Tallinie, Saulkrasti (Łotwa) i znów w Suwałkach.

Na początku planowaliśmy zabrać ze sobą namiot, ale po przeanalizowaniu tego, w ilu miejscach będziemy spali i jakie dodatkowe atrakcje nas czekają (przeprawy promowe, kolejowe; a wszystko z rowerami, które trzeba odpinać i przypinać), uznaliśmy, że tym razem nie będziemy sobie dokładać jeszcze jednego elementu do tej logistycznej układanki. Kwatery to też przecież świetny wybór.

Auto służyło nam na odcinkach Katowice – Tallin i potem na północy Finlandii. Z Tallina przepłynęliśmy promem do Helsinek. Samochód z rowerami płynął z nami – jeśli ma się auto na gaz, trzeba wczytać się dokładnie w warunki przewozu; z trzech przewoźników na tym odcinku tylko jeden umożliwiał nam wjazd na pokład naszym samochodem na gaz.

W Helsinkach natomiast wsiedliśmy do nocnego pociągu do Laponii, a konkretnie do Kemijärvi. Z powrotem, też nocnym pociągiem, jechaliśmy z Rovaniemi do Tampere. Pociągi długodystansowe umożliwiające przewóz samochodów to świetne rozwiązanie – dzięki nim można wygodnie i sprawnie pokonać prawie 1000 km dość monotonnej drogi, wysypiając się przy okazji i nie tracąc dnia.

Kowno, Ryga i Helsinki

Droga „tam" zajęła nam w sumie sześć dni. Odwiedziliśmy Kowno, a na dłużej zatrzymaliśmy się w Rydze i Helsinkach. Będąc w Rydze, zwróciliśmy uwagę na pewien trend, który wcześniej specjalnie nas nigdy nie zainteresował. Wszędzie jak grzyby po deszczu wyrastają muzea iluzji. W Rydze daliśmy się porwać iluzorycznym wystawom, ale kiedy w Helsinkach i później w Tallinie znów natknęliśmy się na podobne miejsca (oba otwarte w 2025 roku), zaczęliśmy się zastanawiać, o co chodzi. Teraz planujemy wycieczkę do Manchesteru i tam też jest muzeum iluzji, otwarte w roku 2024. Najwidoczniej zatem istnieje popyt na cuda kontrolowane, które wpisują się w każdy krajobraz i dzięki temu spotkać je można już wszędzie.

W każdym odwiedzonym przez nas miejscu uprawialiśmy tradycyjne zwiedzanie, to więc przemilczę. Za to wspomnę o przybytku, który absolutnie skradł nasze serca. Była to główna biblioteka w Helsinkach, Oodi. Można w niej nie tylko wypożyczyć książki, ale także spędzić czas na innych aktywnościach: pracy, grze, szyciu, projektowaniu i drukowaniu (tradycyjnym i 3D). Można uczestniczyć w warsztatach, a nawet skorzystać ze studia nagrań. To miejsce integracji wszelakiej, w którym da się przepaść na wiele godzin. Naszą pamiątką stamtąd są naszywki na ubrania, które, korzystając z szablonów, samodzielnie wykonaliśmy.

Park narodowy Oulanka

Mimo że po spojrzeniu na mapę okazało się, że do końca świata jest jeszcze kawał drogi, po dojechaniu do Kemijärvi wydało nam się, że już się na nim znaleźliśmy. Ludzi na ulicach było jak na lekarstwo, w drodze na camping częściej od aut spotykaliśmy renifery, a otaczające nas zielonymi koronami drzewa iglaste ustępowały jedynie niezliczonym jeziorom i jeziorkom, których w Finlandii jest niemal dwieście tysięcy (trzeba brać poprawkę na to, że za jezioro uznaje się wyłącznie akweny wodne o powierzchni powyżej 500 m^2).





Park narodowy Oulanka mieści się we wschodniej części kraju przy granicy z Laponią. Z popularniejszych miejscowości znajdujących się w pobliżu (na południe) wymienić trzeba Kuusamo. I chyba tyle. Za miedzą jest już Rosja, ale tam nas specjalnie nie ciągnęło. Na campingu zakwaterowaliśmy się w drewnianej „chatce Trolla" – schludnym, małym drewnianym domku ukrytym między drzewami powyżej placu na namioty i kampery. Wokół wszędzie rozpościerały się lasy, no i jeziora. Sklepu spożywczego w pobliżu nie było, gotowaliśmy sami.

Na miejscu spędziliśmy pięć pełnych dni, codziennie znajdując nową atrakcję. Jeździliśmy na rowerach, kąpaliśmy się w jeziorze, posmakowaliśmy przygody, uczestnicząc w raftingu, korzystaliśmy z tradycyjnej fińskiej sauny, a poza tym poznawaliśmy okoliczne szlaki, m.in. najpopularniejszy Mały Szlak Niedźwiedzi. Trafiliśmy też na koncert na campingu – właściciel grał na basie w zespole rockowym i kapela chętnie prezentowała się turystom.

Było absolutnie przepięknie, trafiliśmy na najcieplejsze dni, a do tego praktycznie nie uświadczyliśmy przemocy ze strony komarów. Gdyby szukać raju, to w Oulance ma się szansę go znaleźć.

Rovaniemi

Lato w Rovaniemi ma tę przewagę nad zimą, że poza tym, że nie jest ciemno ani zimno, ani mokro (OK, z tym ostatnim bywa różnie), to jeszcze stosunkowo łatwo znaleźć niedrogi nocleg. Nam udało się zabukować na własność ogromne mieszkanie w cenie 50 zł za osobę za dobę. A jako że chatka Trolla w Oulance też kosztowała mniej niż kwatera w Beskidach, noclegi w Finlandii okazały się najtańsze z całego wyjazdu, co nas odrobinę zaskoczyło. Ale tak zaskakiwani być lubimy, więc nie narzekaliśmy.

Gwoździem programu, wymarzonym, wyczekanym, najważniejszym (itd.) była oczywiście wizyta u Mikołaja. Do Mikołaja wchodzi się za darmo, a cała wizyta trwa kilka minut. Grzeczni dostają prezenty (o ile wcześniej odpowiednio porozmawia się o tym z elfami), a niegrzeczni muszą zapłacić za pamiątkowe zdjęcia. To znaczy, nie muszą, ale wiadomo, że i tak to zrobią. Pakiet premium obejmuje nawet film z całej wizyty, którym można się potem chwalić dziadkom i dzieciom w przedszkolu. Wizyta przyjemna i na pewno niezapomniana.

Ale, oprócz odwiedzin u Mikołaja, na uwagę zasługują inne miejsca leżące na terenie jego wioski. My odwiedziliśmy między innymi zagrodę psów husky i jeszcze jedną zagrodę, w której karmiliśmy renifery. Nie trzeba być dzieckiem, żeby się tam dobrze bawić. Innym miejscem, które będąc w Rovaniemi, trzeba koniecznie zobaczyć, jest muzeum arktyczne Arktikum. To w pięknej formie podana wiedza na temat koła podbiegunowego – przez jego geografię, przyrodę, po kulturę i tradycje oraz historię ludów zamieszkujących tamte tereny.

Tampere, Tallin i Łotwa

W drodze powrotnej zajrzeliśmy jeszcze do Tampere, w którym przez rok studiował Metzger, i odwiedziliśmy tam Muzeum Muminków (akurat w dzień urodzin Tove Jansson! Przy okazji: mroczno-filozoficzne Muminki to nie wszystko w jej bibliografii – polecam jej książki dla dorosłych, piękna proza).

W Tallinie największe wrażenie (przynajmniej na mnie) zrobił Linnahall, czyli dawny Pałac Kultury i Sportu im. V. I. Lenina, brutal, z dachu którego można podziwiać bezkres morza. Łotwa zaś urzekła nas pustymi plażami, nad którymi spędziliśmy ostatnie trzy dni wyjazdu, budując zamki z piasku i zbierając muszle. Mieliśmy tam tyle czasu, że Metzger zdążył nawet przekopać rękami rzekę, zmieniając jej bieg. Ale to już inna opowieść.

Anna Latusek

HARNASIE NA WYSOKOŚCIACH

Zbliża się 60-lecie istnienia SKPG, zbliża się też 50-lecie mojego członkostwa w Kole, gdyż swoją trójkątną blachę otrzymałam w lutym 1977 roku pod Zbójeckim Oknem, w pobliżu Chatki pod Potrójną.

Chciałam z tej okazji przypomnieć pewien drobny, aczkolwiek znaczący epizod z historii Koła, nie wyprawę, nie wycieczkę, nie szkolenie, ale prace, które pozwalały nam w słusznie minionych czasach PRL zarabiać na wyprawy, a nawet na zwykłe wyjazdy w Alpy.

Współcześnie, jeżeli tylko dysponujemy odpowiednią ilością pieniędzy (a nie są to pieniądze jakoś dramatycznie duże), po prostu wsiadamy do samolotu, samochodu lub autobusu i jedziemy lub lecimy do wybranego przez nas miejsca. W latach 70. lub 80. XX w. wyjazd w Alpy wiązał się z niemal rocznymi przygotowaniami. Trzeba było, po pierwsze, wystąpić o paszport przechowywany w Wydziale Paszportowym Komendy Milicji Obywatelskiej, składając kilkustronicowy formularz. Trzeba było gromadzić konserwy, ryż i makaron, aby za granicą było co jeść, bo pieniędzy na zakupy nie było. Trzeba było starać się o wizy. Trzeba było na pół roku wcześniej zakupić bilety na pociąg, samolot lub autobus itd. itp.

Na wyjazd otrzymywaliśmy możliwość zakupu po cenie „bankowej" walut stanowiących równowartość 130 dolarów i trzeba było za to przeżyć cały miesiąc. Moja pensja informatyka w dużym centrum obliczeniowym wynosiła równowartość ok. 20 dolarów, po cenie czarnorynkowej.

Trzeba było jakoś dorobić. Pomógł tak zwany FASM, czyli Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży.

Fundusz ten powołany został w roku 1973, na podstawie Uchwały nr 280 Rady Ministrów w sprawie udziału uspołecznionych zakładów pracy w tworzeniu FASM (M.P. 1973 nr 56 poz. 313). Głównym założeniem FASM było pozyskiwanie środków z dodatkowej, planowej lub pozaplanowej pracy wykonywanej przez młodych ludzi. Między innymi organizacje społeczne mogły legalnie zawierać umowy na wykonanie określonych robót na rzecz gospodarki uspołecznionej.

Zgodnie z przepisami środki FASM przeznaczano na cele statutowe organizacji młodzieżowych, na przykład na dofinansowanie wypoczynku i turystyki, zakup sprzętu turystycznego itd.

W PRL osoby fizyczne nie mogły swobodnie zakładać prywatnych firm usługowych, wobec tego Kluby Wysokogórskie i inne kluby turystyczne wykorzystały mechanizmy FASM w porozumieniu z uczelnianymi strukturami SZSP, by legalnie fakturować fabrykom trudne zlecenia wysokościowe – przede wszystkim malowanie wysokich kominów fabrycznych, czyszczenie elewacji czy remonty konstrukcji stalowych w zakładach przemysłowych. Na Śląsku mieliśmy tego szczególnie dużo. W Oddziale Uczelnianym PTTK w Gliwicach powołana została specjalna komórka do pozyskiwania i rozliczania takich robót, a klubem, który pozyskiwał w ten sposób szczególnie dużo zleceń, był Akademicki Klub Alpinistyczny. Ale „Harnasie" też działali.

Osobiście brałam udział w dwóch tego typu pracach – pierwsza to było czyszczenie tak zwanej Szklarni Wieżowej na terenie Parku Śląskiego, wówczas Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku. Praca ta miała miejsce, o ile pamiętam, w roku 1981.

Szklarnia Wieżowa powstała we wrześniu 1968 roku, oddano ją do użytku z okazji Ogólnopolskiej Wystawy Ogrodniczej. Szklarnia miała wysokość 54 m, co czyniło ją najwyższą szklarnią wieżową na świecie. Podstawę stanowił budynek technologiczny, nad którym górowała przeszklona, cylindryczna wieża o konstrukcji stalowej wykonana przez zakłady Mostostal. Z zewnątrz wieża pokryta była przeźroczystą (przynajmniej na początku) powłoką z płyt pleksiglasu. Wewnątrz funkcjonował mechanizm przypominający windę paciorkową (paternoster) – tace z roślinami (m.in. pomidorami, sałatą i kwiatami) poruszały się w pionie w cyklu ciągłym, raz w górę, a raz w dół, co z założenia miało im zapewnić równomierne doświetlenie słoneczne, zautomatyzowane zraszanie i nawożenie.

Niestety po kilkunastu latach eksploatacji śląskie pyły i tłusta sadza tak bardzo wżarły się w tworzywo okrywające wieżę, że zbudowana z nich powłoka stała się szara i nieprzeźroczysta. Nam zlecono umycie powłoki wieży z zewnątrz i wewnątrz. Koledzy z uprawnieniami alpinistycznymi zakładali stanowiska zjazdowe i asekuracyjne na dachu wieży i w zjazdach szorowali ją od zewnątrz szczotkami, próbując stosować też różne środki chemiczne, które były w stanie rozpuścić brud. Ja byłam w ekipie, która – w lonżach przypominających lonże stosowane na ferratach, z dwoma karabinkami, z których przynajmniej jeden musiał być zawsze przypięty do konstrukcji, z wiaderkiem zawieszonym na desce, na której się też siedziało (tak zwanym dupowsporze) – łaziła pieszo po metalowej konstrukcji wieży i szorowała ją od środka.

Dookoła nas, w górę i w dół krążyły tacki, na których stały doniczki z kwiatami i małymi krzakami pomidorów. W środku panował straszny zaduch, a wilgotność wynosiła chyba 100%, co było bardzo uciążliwe. Pracę wykonaliśmy, pieniądze otrzymaliśmy; wspomogły nasz wyjazd w Alpy w roku 1981. Niestety wkrótce potem eksploatacja wieży okazała się nierentowna. Już dwa lata później, w roku 1983 wyłączono ją z użytku, a niebawem stalową konstrukcję zdemontowano i zezłomowano.

Inna praca, w której brałam udział, miała miejsce w roku 1985, przed kolejnym wyjazdem w Alpy. Tym razem była to praca wykonywana na rzecz Elektrociepłowni Gliwice. Jak zawsze była tam zatrudniona ekipa, która zjeżdżała na linach, malując ściany boczne zbiornika pyłów, ja zaś, również asekurując się za pomocą lonży, malowałam poręcze, drabinki i inne drobne elementy tegoż zbiornika. W ciągu około miesiąca pracy tylko popołudniami i w weekendy zarobiłam mniej więcej tyle co w swojej stałej pracy przez pół roku. Pamiętam, że po powrocie z Alp zostało mi jeszcze pieniędzy na pralkę automatyczną „Tamat", która kosztowała mniej więcej tyle co moje trzymiesięczne wynagrodzenie w „stałej" pracy. Nawet do dziś pamiętałam, że wtedy zapłaciłam za nią 60 000 ówczesnych złotych.

Basia „Jelon" Zygmańska

TO BYŁO

✔ 22.10 w SP nr 12 w Katowicach, z okazji Tygodnia Karier, Paweł „Kleryk" Pękacz i Ania Latusek pod szyldem „Harnasi" przeprowadzili kilka lekcji z uczniami 3 i 6 klas na temat zawodu przewodnika.

✔ 24.10 Drugi termin egzaminu praktycznego. Do egzaminu przystąpiło dwoje kursantów. Komisja pracowała w składzie: Maks Kuśka, Ala Janicka i Krzysztof Skowronek. Było zwiedzanie Żywca oraz przejście w grupie Zabaw. Egzamin z wynikiem pozytywnym zaliczył Paweł Śmieja. W sumie mamy więc 7 półprzewodników.

✔ 25.10 ZKSR-bis w Lasach Panewnickich. Było 10 osób.

✔ 25.10 Znany obieżyświat Stasiu Krawiec zaszczycił ostatnio swą obecnością nasze swojskie Beskidy, zdobywając Baranią Górę w asyście Nowego i Smoka. Redakcja składa wyrazy uznania i śle gratulacje!

✔ 5.11 spacer architektoniczny po Katowicach został zamieniony na zwiedzanie lotniska i hali lotniska w Gliwicach.

✔ 7–8.11 Rajd Studenci Górom pod hasłem „Nieoczywisty Beskid Śląski".

✔ 19.11 Pecha Kucha, czyli wspomnienia z wakacji w postaci 20 slajdów po 20 sekund – godz. 17:00 w sali konferencyjnej w Mrowisku.

✔ 21–22.11 Śpiewanki Międzykołowe w chatce pod Solniskiem w Lachowicach.

TO BĘDZIE

❋ 5–6.12 Rajd Mikołajkowy w Beskidzie Małym z metą w Chatce pod Potrójną.

❋ 21.12 godz. 18.00 Wigilia w Mrowisku.

Z forum kursu

Robert: Pan Przewodnik nawiązał we wpisie do gry Widzę Psa, więc czuję się zobowiązany do zamieszczania tu linku do zasad tej szlachetnej gry: ...

Kursant: Kryste Panie... czyli to nie wirtualna wymyślona zabawa!

Daniel: Jako Zimowy Mistrz Świata AD 2022 absolutnie wypraszam sobie sugerowanie jakoby dyscyplina, w której jestem mistrzem, była jakąś wymyśloną fanaberią!

Widzę Psa to już 5 lat wiekopomnych rozgrywek z całą rzeszą grających oraz plejadą wielkich Mistrzów tej dyscypliny. Obecnie trwają starania o wpisanie jej na listę sportów olimpijskich. Poniżej dowód powagi tych rozgrywek.

Daniel Stanowski

